

[wyznania]

Taras Wozniak: Dlaczego Schulz?

O, Boże, miejże dziś na pieczy,
gdy wichry na zawieję wyją,
barłóg zwierzęcy i człowieczy.

Bohdan-Ihor Antonycz, *Zima*,
przeł. Adam Pomorski

Spróbuję spojrzeć nieco inaczej na postać wielkiego, nie tylko drohobyckiego, ale światowej rangi pisarza, jakim był Bruno Schulz. Dlatego jak niewinne dziecko zapytam: czym jest Schulz? Nie kim – to wszyscy wiemy – ale właśnie czym. Jaką pracę, oprócz swojej pracy artystycznej i literackiej, dla nas wykonał? Skoro już mowa o pracy, to oczywiście zapytam też o funkcję, jaką, sam tego nie podejrzewając, przez pół wieku po swojej śmierci Schulz pełnił zarówno dla Polaków, jak i Ukraińców, w tym również dla mieszkańców Drohobycza. Określiłbym tę funkcję mianem światotwórczej. Nie tylko poprzez swoją twórczość, ale i poprzez sam fakt swego istnienia zaczął on inaczej kształtować nasz świat, a przynajmniej ten drohobycki, chociaż mam tu na myśli Drohobycz na skalę wszechświatową. A zatem: jaki i czyj świat kształtuje Bruno Schulz? Nasz i wasz zarazem.

Od uzyskania niepodległości aż po dzień dzisiejszy na Ukrainie aktywnie rozwija się nowoczesna kultura polityczna i wspólnota świadomości – nowy naród ukraiński. Naturalnie w toku tego procesu naród kształtuje swoją tożsamość, której nierozzerwalnie towarzyszy semantyczne budowanie swojego świata, semantycznego krajobrazu Ukrainy i Galicji. Obmyślamy i oznaczamy wokoło nas okrąg, który tworzy ów semantyczny pejzaż, w jakim urządzamy nasze absolutnie niepowtarzalne życie – jako wspólnota i jako każdy z nas z osobna. Każda nazwa ulicy, każdy budynek, nawet kształt futryny i okiennych ram czy wzór na parkiecie mają swoje znaczenie. Ktoś, kto wzrasta w miejscowości o strukturze dawnego sztetlu albo w mieście poniemieckim, powinien rozumieć

sensy, jakie kryją się w otoczeniu, odnieść się jakoś do wcielonych w nie znaczeń. Ale czy tak się dzieje?

Nie zawsze. Przyczyniły się do tego przede wszystkim wydarzenia II wojny światowej, która nie tylko była największą wojną w historii ludzkości, ale i wywołała radykalne zmiany etniczne i kulturowe w niemal całej Europie Środkowo-Wschodniej z Niemcami włącznie. O praktycznie całkowitym zniszczeniu żydowskiego świata tego obszaru wiemy wszyscy. Radykalne „oczyszczenie” ogromnego terytorium między Renem a Wołgą z wszelkich elementów uznanych przez ówczesnych polityków za obce – nierzadko całych narodów – w przypadku Krymu zamieszkanego przez miejscowych Tatarów zamieniło ten etnicznie i kulturowo „czysty” region w cementarną pustkę. Jaki sens mogą mieć dla *homo sovieticus* takie rdzennie krymskie toponimy jak Jany Kapu (a nie Krasnopieriekopsk), Temir-Aga (a nie Sowchoznoje), Aktaczy (a nie Furmanowka)... Chodzi jednak nie tylko o nazwy, lecz również, jak pisał pod koniec lat trzydziestych lwowski poeta Bohdan-Ihor Antonycz, o „barłóg zwierzęcy i człowieczy”.

Powróćmy do naszej małej ojczyzny, do Galicji. W sowietyzowanej na sposób stalinowski Galicji żadne polskie, żydowskie czy austriackie ślady, nawet te semantyczne, pozostać nie mogły. Podobnie nie mogło być w niej śladów rdzennie ukraińskich, usuwanych bezwzględnie niż jakiegokolwiek inne, ponieważ świadczyły o „nacjonalizmie”, karany według najsurowszych praw stalinowskich i postalinowskich. Tak kształtował się sowiecki pejzaż semantyczny kraju i miast, w których mieszkaliśmy. Człowiek jest jednak istotą wrażliwą. Na każdym kroku natykaliśmy się na coś, o czym się nie mówiło, co przykrywała zasłona przemilczeń, co zdawało się niepojęte i może właśnie dlatego z czasem zaczynało przyciągać uwagę, budzić zaciekawienie. Raz za razem osoby wrażliwe wpadały w swoistą semantyczną pustkę, w semantyczne dziury. Nie należy przy tym zapominać, że na spustoszone tereny trafiły setki tysięcy przesiedleńców – w przypadku Galicji byli to przesiedleńcy z Łemkowszczyzny i Podlasia, którzy również znaleźli się na obcym im semantycznym terytorium, w dodatku ogołoconym przez stalinowskie i nazistowskie ludobójstwo. W pewnej mierze oni także byli apatrydami, jeśli pomyśleć w kategoriach małych ojczyzn, w których tak naprawdę żyjemy. Nie można zapomnieć też o Polakach deportowanych z Galicji na obce im ponemieckie tereny daleko na zachodzie, na „Ziemie Odzyskane”, ani o przesiedlonych w ramach akcji „Wisła”, ani o milionach Niemców, wprawdzie w znacznym stopniu ponoszących winę za Armagedon, lecz przecież również ludzi i sierot – sierot semantycznych.

Semantyczne sieroctwo stało się powszechnym udziałem pierwszego pokolenia deportowanych na wielkich obszarach Europy. Ich dzieci, które nie mogły pamiętać małych ojczyzn rodziców, w tym i ja sam, rosły w spustoszonej kraj, w spustoszonych miastach i miasteczkach, co rusz wpadając w semantyczne dziury. Wszyscy musieliśmy się zmierzyć z zadaniem odnalezienia bądź odbudowy swych

semantycznych ojczyzn. Prostacy i łotrzy nie dostrzegali semantycznej złożoności tektoniki, w jakiej ludzie próbowali umościć swoje „barłogi”, starając się oswoić semantycznie cudze przestrzenie, w które rzucił ich los. Dla tych pierwszych nie istniało i nie mogło istnieć nic prócz tego, co było oficjalnie dozwolone.

Jednak czasy się zmieniały i następne pokolenia, potomkowie deportowanych, nie mogły nie zwracać uwagi na liczne kulturowe ślady, które znajdowały wokół siebie. Stopniowo nie z kalkulacji politycznej, ale po prostu prawem ludzkiej natury, domagającej się sprawiedliwości, a także powodowanej ciekawością, dzieci przesiedlonych zaczęły wypełniać dziury semantyczne. Rozpoczął się proces refleksji: powróciły imiona, słowa, pojęcia...

Był to także proces rekonstrukcji semantycznego pejzażu kraju – w naszym wypadku Galicji, a w niej wszechświata Drohobycza. Rekonstrukcja nie polegała na niemożliwym powrocie do Drohobycza czy Lwowa Polaków i Żydów, lecz na uznaniu złożonej przeszłości obszaru, który jest naszym domem, oraz jego semantycznej rekonstrukcji na podstawie tekstu architektonicznego dziedzictwa, ale i na podstawie tekstów w podstawowym znaczeniu tego słowa. W tym sensie tekstem czy metatekstem archetypowym był i jest tekst Brunona Schulza. Nie chodzi przy tym tylko o jego metatekst, którego nie sposób przecenić, lecz także o metateksty Leopolda Sacher-Masocha, Josepha Rotha, Paula Celana, Stanisława Lema, Zbigniewa Herberta, Rosy Ausländer, Gregora von Rezzori, Manèsa Sperbera, Georga Drozdowskiego i wreszcie wspomnianego Bohdana-Ihora Antonycza.

To zadanie semantycznej odbudowy Regionów Wielkiej Herezji realizowane jest nie tylko w naszym malutkim, choć przecież i wielkim Drohobyczu, ale w całej naszej części świata – we Lwowie, w Wilnie, w Gdańsku, we Wrocławiu i w Czerniowcach. Próbuje się leczyć rany zadane przez II wojnę światową, co potrwa długo, nie jest wcale proste i spotyka się z oporem. Jesteśmy w długiej i ciekawej podróży, niczym w opowiadaniach Schulza, i wiele jeszcze ciekawego przed nami.

Przełożył Marek Wilczyński